

Czarodziej słów

(Dokończenie ze strony 17)

kamerdyner, lokaj, guwerner i najwierniejszy służący młodego Brudnickiego, ale też wehikuł w sam raz dla duchowego wzroku autora. Chciałoby się tutaj krok po kroku, strona po stronie smakować tych tekstów, chciałoby się na fundamencie tej książki budować swoje wspomnienia. Zjrzyjmy na kolejną stronę książki. Opis wiejskiej zabawy. Mój ojciec był muzykantem, chodziłam z nim na zabawy, a potem już sama czekałam na taki „czyścić”. Tak o wiejskiej zabawie i o tym co się działo obok tej zabawy, ale za jej przyczyną, mawiał mój dziadek. Kto nie przetańczył, nie przeszedł tamtych zabaw, dużo stracił. To zarazem teatr, kino, kabaret, koncert – w reżyserii serca i ciała. I wydaje się, że to wszystko *ad hoc*, że spontanicznie, czasami nawet bezmyślnie, głupawo. To jednak nie tak. Tańczenie to potrzeba dla ciała i duszy, sterowana muzykantami, którzy wyrosli obok, nie byli zmanierowani szkołami, znający radości i bóle ludzi wsi i okolicy. I tak grali, że aż skrzypce zapłakały, aż akordeony się rozplotkowały, a bębny wprost biły w myśl i wyobraźnię. Podkręcały rytm, reagowały na wszystko, co działo się wokół. Szło wyczuć radość z urodzaju i smutek kłęski, zabierało się w wir oberków skrywane uczucia, niespełnione marzenia, udrękę i biedę, przemoc doznana, odtrącenie konkurentów. To najlepszy rodzaj psychoterapii. Tu pasowało wyśpiewać swój ból, wykrzyknąć krzywdę, wyładować złość do krwi czyjejs i własnej. Te bitki i szarpaniny na dworze, w opłotkach były rodzajem rozliczenia i bywało – ukojenia. Po takich przeżyciach ludzie uspakajali się na jakiś czas, bo „odwirowali się” się z nagromadzonych żalów. Zdarte zółwki w zmwowie z podłogą przenosiły uczestników w nieodgadnioną dla pióra „nieprzytomność”. Autor tak to ujmuje: „W ciemności, w błocie krew się łała, rany się otwierały, a rosła zaciętość za robotę ponad siły, za biedę, za pohańbienie, za żonę bez miłości, za stanie w kącie w kościele, za sąsiada co podorał miedzę, wypasł koniczynę, podpalił szopę, zabił kurę lub psa, za grad co stłukł pole, za złodziei, za, za, za to, że nie ma ludzkiego życia i nie ma sposobu żeby to przejść”. I dalej, dla porównania wspomnienia z dyskoteki i filharmonii. „...gracze i graczynie...” metodą mocy muzyki starają się zawładnąć ciałem, sercem i duszą człowieka w celu dotknięcia dobra, ale i spróbowania zła i jego okiełznania. Dosłowność przeplatana przenośnią w trwaniu ciągłym, nieskończonym, z przyszpilonymi na moment datami lat ważnych, z zaznaczonymi dużą literą nazwiskami ludzi wyjątkowych. Autor bardzo dobrze czuje się w formie i rytmie tej książki, pisze ją całym sobą, książka jest taka, jak autor i wydaje się, że istniała w umyśle autora już dawno, tylko przekorne pióro zwlekało zbyt długo.

I dojechał autor jeźdźdłem do miasta, do szkół, do nazwisk wielkich, do ulic szerokich, teatrów znanych, muzyki kształconej, języka „pańskiego”, pędzla kierowanego, dłuta

szkolonego. W rozdziale „Jeźdźdło na skarpie” czytamy: *I po próbach trasy na Wolność, Nowolipki, na Miłą, Leszno, Żelazną, Ogródową, Dzielną, Senatorską, a jakże, gdzie ojciec po raz pierwszy był i nocował u kolegi w czas wojenny i całe życie wspominał film o łodzi podwodnej i niemieckiej, wyruszyłem w dalszy oszałamiający, niewyobrażalny, szeroki jak dawne światło, świetny świat.* I kotłowało się w nim to co pierwsze z wykreowanym, to przeżyte z wyuczonym, to namacalne z oglądanym na papierze czy ekranie. I gdyby wybierać przyszło... Ale egzystować trzeba, trzeba nauczyć się po miejsku żyć ze słowa, zdolności zamieniać na pieniądze. Tak by się chciało po dawnemu dzielić się tym, co się ma w sobie dobrego, danego przez Boga, a tu każdy rozum musi chodzić na dwóch nogach, więc coś jeść się musi, gdzieś mieszkać. Dalszy rozwój autora w sferze odbioru wrażeń i tworzenia dróg poznawczych jest generowany przez doświadczenia dzieciństwa i młodości. To rozwijanie w zdania złożone zdań prostych wpisanych, wrytych w pamięci i wrażliwości młodych lat.

Przyszedł więc czas na całe góry książek, pagóry czasopism, pagórki notatek... I myślenie się ćwiczyło, nabierało formy, jak ciało wyczynowca. I patrzeć się wyostrzało, widziało więcej i przenikało przez przeszkody. I pióro się rozochociło i wyruszyło ku takim osobowościom jak: Zofia Nałkowska, Tadeusz Nowak, Jerzy Zawieyski, Miron Białoszewski czy Fryderyk Chopin. Biografie, szkice, recenzje eseje, felietony – zapraszały do poznawania ludzi i świata. Niejeden tekst autora porządkował, przybliżał, wyjaśniał ten stan współczesny, z którym trudno sobie poradzić, trudno objąć umysłem i sercem. I niejedno jurorowanie wymagało rozważnego „rozczytania” i podania opinii w wersji serdecznej, acz rzetelnej. Wypełnione zrozumieniem zdania dla pierwszych tekstów piszących są jak nadzieja, jak jutrzenna.

Jakim językiem pisze autor? Podobno językiem starego roweru, tak to sam określił. Nie jest więc Brudnicki językowo grzeczny, ani ułożony. Zastane przez niego terminy i pojęcia są niewystarczające, by opisać to, co dzieje się w nim samym. Tworzy więc nowe słowa, nie brak tu także pomysłów na gierki z formą. Czuję tu ponad wszystko wielką swobodę językową właściwą mowie chłopskiej. Przepiękna kreacja literacka pobierająca z mowy polskiej to, co akurat pasuje do wyrażenia uczuć, oceny sytuacji czy opisu. Gwara nadaje koloru tym opowieściom, wspomnieniom, czasami spowiedzi nawet. Język literacki nie boi się słów dawnych, zdań całych czy większych fragmentów gwarowych. Na zasadzie wielkiej zgody te dwie formy artystycznego wyrazu uzupełniają się, bądź dopełniają. Słowacki tak kiedyś się wyraził: *Chodzi mi o to, aby język giętki, powiedział wszystko, co pomyśli głowa...* Książka Brudnickiego jest wspinałym potwierdzeniem, że istnieje taki „giętki” język i cieszę się, że mogę poprzez taką formę zapisu poznawać myśli autora. Nie zamierzam tu dobrać się do zapisanych treści i tworzyć spojler tej pulsującej biografii, bo celem tej książki nie było pisanie życiorysu. To zapis związku autora z historią, ze słowem, z

ludźmi tymi przed i teraz, a może... *I nawet trochę w zaświaty, przedświaty oświecone, dawne, nowe, pierwsze* – pisze jasno autor.

Książka jest zaproszeniem do dialogu, a może bardziej do rozmowy z samym sobą, swoim własnym językiem, według filozofii, którą sam dla siebie człowiek wyprowadził z lat mu danych, z wiedzy wszelakiej i z przeżyć duszy i ciała. Pozostaje mi tylko czekać, aż z tej książki autora „wykręci się” następna, by znowu zagłębić się w lekturze.

Anna Błachucka



Podane w otwartych dłoniach

Umiera prowincjonalny poeta. Ktoś, kto miał ograniczone możliwości zaistnienia w świecie literackim z racji miejsca zamieszkania i braku wsparcia w środowisku, które nie rozumiało jego pasji i nie doceniało talentu. Pozostaje garść wierszy publikowanych w necie, gdzie trudno wyłowić coś wartościowego. Po kilku latach nawet znajomi z sieci, którzy deklarowali poparcie i „lajkowali” utwory zajmują się własnym pisaniem i nie pamiętają, że ktoś tam był, ktoś tworzył – nieraz całkiem dobre rzeczy. Umiera pamięć i dorobek, choć podobno w Internecie nic nie ginie. Znany obrazek? Niestety całkiem powszechny. Na szczęście pomimo wszechobecnego narcyzmu i egoizmu panującego wśród osób piszących zdarzają się przypadki, gdzie poeta ratuje to, co pozostało po innym poecie. Bezinteresownie, kosztem własnego czasu, czasem własnych pieniędzy. Taką inicjatywą jest tom Gabrieli Lilianny Cabaj „Jeszcze nieba nie zamykaj”, który w czerwcu tego roku wyszedł dzięki staraniom Leszka Lisieckiego. Gabriela Cabaj – rodowita Kaszubka, nauczycielka pracująca na roli pozostała po sobie skromny tom „Przenikanie” i olbrzymią ilość tekstów rozsypanych w różnych miejscach w sieci. Gdy zmarła cztery lata temu wydawało się, że spotka je taki sam los, jaki dotyka wiele innych utworów. Na szczęście człowiek, który znał ją tylko z sieci postanowił zebrać te rozproszone perełki (wiersze, prozę, wspomnienia) i po negocjacjach z rodziną wydał w solidnej czterysta stronicowej książce. Na okładce i wewnątrz tomu znalazły się zdjęcia Leszka Lisieckiego oraz fotografie, które udostępniła rodzina. Projekt i opracowanie graficzne okładki zawdzięczamy Justynie Puchalak, redakcją i korektą tomu zajęli się Joanna Rzdokiewicz-Nowocięń i Rafał Nowocięń. Swoje słowo o twórczości autorki w rozdziale *Postscriptum* wyrazili: Stanisław Nyczaj, Rafał Nowocięń, Joanna Stodyczka, Jacek Aleksander Sojan